ANIOŁ STRÓŻ

PRZYJACIEL I NAUCZYCIEL DZIECI.

Wychodzi w trzecią niedzielę każdego miesiąca.

Rok III. **Kraków, listopad 1902.** **Nr. 11.**

Prenumerata roczna: 40 hal. **Ulica Mikołajska Nr 30.** Cena pojedynczego numeru: 4 hal.

List od Aniołka.

Drogie dzieci! Oto już trzeci miesiąc, jak po wakacyach wróciłyście do nauki i codzień rano z książeczką biegniecie do szkoły. Aniołek zna dużo dzieci grzecznych i pracowitych, które pilnie do szkoły chodzą i nigdy nauki nie opuszczają, chyba, że rzeczywiście są chore. Temi dziećmi Aniołek się cieszy bardzo, kocha je i błogosławi. Ale, niestety, nie wszystkie dzieci taką pociechę Aniołkowi sprawiają; są takie, które Go zasmucają swojem lenistwem, w szkole nie uważają na to, co p. Nauczycielka mówi i ciągle tylko myślą o tem, jakiby to powód wynaleźć, żeby do szkoły nie pójść: to głowa boli, to palec skaleczony, to znów książka zginęła i tak raz wraz coś nowego, byle tylko w domu zostać, na pole wybiedz i dzień przepróżnować! Och! jak się to Aniołek za te dzieci wstydzi przed P. Jezusem i Matką Najświętszą! Jak sobie białemi skrzydłami twarz zasłania, gdy stanąwszy przed Bożym tronem musi Panu Bogu zdać sprawę z ich zachowania!

Moje dzieci drogie, wy Aniołka kochacie, więc Go z pewnością nie zechcecie dłużej martwić.

Aniołek się przekonał, że ile razy Was o co poprosił, toście Go zawsze usłuchały, bo rozumiecie, że On jest waszym przyjacielem i każda rada jego na dobre wam wychodzi. Więc i tę nową prośbę Aniołka dziatki przyjmą do serca i *sumiennie wypełnią przez cały ten rok*. A jaka to prośba, zgadłyście już z pewnością. Oto ta: **nie opuszczajcie bez prawdziwie ważnego powodu nauki w szkole!**

Wy, dzieci ukochane, w waszym wieku nie rozumiecie jeszcze, jaki to wielki grzech nie korzystać z dobroci Pana Boga, który wam posyła zacnych ludzi, co was chcą uczyć — i jaką sami sobie wielką krzywdę wyrządzacie, kiedy się źle uczycie. Aniołek zna dorosłych ludzi, którzy mogliby mieć dzisiaj uczciwy kawałek chleba i żyć spokojnie i szczęśliwie, *a są w nędzy i często nie mają co do ust włożyć.* Dlaczego tak jest? *Bo się za młodu woleli bawić niż uczyć, bo im się w szkole przykrzyło i ani do książki ani do rzemiosła przyłożyć się nie chcieli!* Dziś gorzko płaczą i żałują tego — ale już za późno!

A więc dzieci kochane, uczcie się póki czas, pókiście młodzi, żeby i dla was kiedyś nie było za późno!

Wasz wierny przyjaciel

Aniołek.

Święta Elżbieta.

Niedawno czytałyście o szczęśliwej rodzinie Odrowążów, która tylu świętych i błogosławionych wydała. Niemniej szczęśliwą można nazwać rodzinę, z której pochodziła *św. Elżbieta,* księżna turyngska. Ciotką św. Elżbiety była *św. Jadwiga,* księżna śląska, siostrą cioteczną *św. Agnieszka,* księżniczka czeska, jeden z braci ożenił się z polską księżniczką, *błogosławioną Salomeą*, prawnukiem drugiego brata był *św. Ludwik z Tuluzy,* wnuczką siostry była *św. Elżbieta,* królowa portugalska, a siostrzenicami: *św. Kinga,* żona księcia krakowskiego, Bolesława Wstydliwego, *św. Małgorzata,* królewna węgierska i *bł. Jolanta,* żona księcia kaliskiego, Bolesława Pobożnego. (Księstwo kaliskie było częścią Polski). Porachujcie więc, ilu to świętych było w tej rodzinie!

Sw. Elżbieta była córką króla węgierskiego, Andrzeja. Urodziła się ona w r. 1207 i od kołyski okazywała wielką pobożność; pierwsze wyrazy, które wymawiać umiała, były to słowa modlitwy. Zaledwie trzy lata mając, wszystko co mogła rozdawała ubogim. I dziwna rzecz: z chwilą, kiedy dziecina ta przyszła na świat, ustały wojny, które od dawna kraj trapiły, wróciły czasy długo nieznanej pomyślności i wszyscy odczuwali, że ich mała królewna przyniosła z sobą błogosławieństwo Boże.

Wieść o tej miłej dzieweczce doszła aż do Niemiec, do dobrego księcia Turyngii, Hermanna. Pomyślał on sobie, że dobrzeby było dać swemu synowi za żonę, a krajowi za księżnę taką od Boga szczególniej ubłogosławioną istotkę. W dodatku raz przybył na dwór jego z Węgier pewien zakonnik, który opowiedział księciu, że przez cztery lata był niewidomy, dopiero uzdrowiła go cudownie maleńka księżniczka węgierska. Książe Hermann wysłał więc do króla węgierskiego poselstwo, prosząc o rękę św. Elżbiety dla jedenastoletniego

swego synka Ludwika i prosił też, aby zanim oboje dorosną i pobrać się będą mogli, mała Elżbietka mogła się wychowywać na dworze swego przyszłego męża. Żal było matce i ojcu rozstawać się z ukochaną, czteroletnią dopiero córeczką, ale że wiedzieli, jak dobrym i powszechnie kochanym jest książe Hermann, więc przystali na jego prośbę.

Odtąd wzrastała św. Elżbieta na dworze turyngskim kochana i podziwiana przez wszystkich dla wielkiej słodyczy i posłuszeństwa względem starszych. Razem z nią wychowywała się księżniczka turyngska Agnieszka i sześć innych panienek. Chętnie bawiła się z niemi, ale chętniej przebywała w kaplicy na modlitwie. Zawsze też wymyślała zabawy, przy którychby modlić się mogła. Naprzykład, lubiła się bawić w ten sposób, że wszystkie ośm skakały na jednej nodze jedna za drugą, a ta, która była najpierwsza, prowadziła je, gdzie chciała. Gdy kolej przyszła na św. Elżbietę, prowadziła je zawsze przed kaplicę, a gdy zastała ją zamkniętą, całowała jej mury, aby oddać cześć P. Jezusowi w Najśw. Sakramencie. Czasem znów chciała się pomodlić, a nie chciała opuszczać towarzyszek, aby im przerwaniem zabawy nie zrobić przykrości. Mówiła więc: »Połóżmy się na ziemi i zmierzmy się, która z nas największa«. A potem mierzyła się z każdą po kolei, kładąc się obok niej i korzystając z tej chwilki spokoju, odmawiała za każdym razem jedno: »Zdrowaś Maryo«. Towarzyszki jej nieraz opowiadały, że Dzieciątko Jezus przychodziło bawić się z Elżbietą.



Św. Elżbieta.

Gdy umarł książę Hermann, który bardzo ją kochał, św. Elżbieta liczyła dziewięć lat. Źli ludzie korzystając, że się nigdy na nikogo nie poskarżyła, dokuczali jej nieraz za jej pobożność, ale nasza Święta wszystko cierpliwie znosiła i urazy przebaczała. Nawet gdy już została żoną również dobrego i pobożnego księcia Ludwika, musiała znosić niejedną przykrość.

Wiedziała ona, że nie samej modlitwy P. Bóg od nas wymaga, że pragnie, abyśmy też dobre uczynki spełniali; więc każdą wolną od modlitwy chwilkę poświęcała odwiedzaniu chorych i wspieraniu biednych. Założyła szpital, w którym pielęgnowała ubogich chorych. Pamiętając, że Zbawiciel kazał dawać ubogim jałmużnę, tak, aby nikt o tem nie wiedział, że zakazał się tem chwalić, kryła się ze swymi dobrymi uczynkami nawet przed dobrym swym mężem. Raz

gdy niosła w płaszczu chleb ubogim, spotkał ją mąż i zapytał co niesie, odkrywając równocześnie jej płaszcz. Św. Elżbieta była zmartwiona, że jej dobry uczynek wyjdzie na jaw, aż tu zdumiony mąż znajduje zamiast chleba prześliczne róże, chociaż to było wśród zimy. Chciał zapytać, skąd o tej porze wzięła takie cudne kwiaty, gdy wtem ujrzał nad jej czołem krzyż świetlisty i poznał, że to P. Bóg cud sprawił. Jednę z tych róż zachował do końca życia jako skarb najdroższy, a na miejscu ich spotkania wystawił krzyż na pamiątkę tego, który ujrzał nad czołem żony.

W tych czasach byli ludzie pobożniejsi niż dziś, bolało ich więc bardzo, że Ziemię św., gdzie P. Jezus żył, nauczał i śmierć poniósł, mają w swem ręku poganie. Wyprawiano się więc kilka razy, aby im kraj ten odebrać, a wojny te zwano *wojnami krzyżowemi*. W jednej z nich wziął udział książę Ludwik, ale umarł nim dotarł do Ziemi świętej. Od tej chwili rozpoczyna się dla świętej Elżbiety życie pełne trosk i cierpień. Źli bracia męża wygnali ją wraz z dziećmi wśród strasznej zimy z zamku i pod surową karą zabronili komukolwiek przyjąć ją na nocleg. Mieszkańcy miasta Eisenach, którym tyle dobrego księżna zrobiła, bali się książąt i ściśle ich rozkaz wypełnili, tylko właściciel gospody pozwolił jej przepędzić noc w ciasnej komórce, w której zwykle świnie mieszkały. Ale św. Elżbieta dziękowała jeszcze P. Jezusowi, urodzonemu w stajence, że jej podobny los zesłał. Długo jeszcze tułała się od zamku do zamku, od miasta do miasta, a zewsząd wypędzała ją złość książąt. Dopiero gdy wrócili z wojny wierni towarzysze jej męża, skłonili ich, aby świętą przeprosili i napowrót do zamku przyjęli. Niedługo jednak zabawiła tam św. Elżbieta; pragnęła ona nadal naśladować ubóstwo Zbawiciela, resztę więc życia spędziła w ubogiej chatce, zarabiając na życie przędzeniem i będąc we wszystkiem posłuszną swemu spowiednikowi. Umarła mając 24 lat. Natychmiast grób jej zaczął słynąć cudami, a już w cztery lata po jej śmierci Kościół ogłosił ją świętą i naznaczył jej uroczystość na dzień 19 listopada.

Kasia, kotki i zapałki.

Była to wieczorna pora,
Wyjechali wszyscy z dwora,
W domu tylko pozostała,
Z śliczną lalką Kasia mała.
Więc jak koza skacze, bryka,
Od kącika do kącika,
To podbiegnie, to podskoczy,
Wtem pudełko małe zoczy:
Pochwyciła, otworzyła;
W niem zapałek pełno było.

Myśli sobie:
»Wiem co zrobię,
Będę mieć zabawkę miłą.
Nikt nie widzi — jestem sama,
Pozapalam je jak mama«.
Miauczek z Mruczkiem mądre koty,
Proszą wznosząc łapki w górę:
»Miau, miau, nie czyń psoty,
Miau, miau, bo usłyszysz burę,
Mama ruszać zabroniła,

Bo się spalisz Kasiu miła!«
Na głos kotków Kasia głucha,
Dobrej rady ani słucha.
Strojąc figle niesłychane,
Wciąż zapałki trze o ścianę!
Miauczek z Mruczkiem mądre koty,
Znowu łapki wznoszą w górę:
»Miau, miau, nie czyń psoty,
Miau, miau, bo usłyszysz burę.
Rzuć zapałki, bój się Boga,
Bo się spalisz Kasiu droga!«
Ale rada nic nie nada:
Kasia kotków ani słucha!
Wtem z zapałki iskra pada,
Z iskry płomień wnet wybucha,
I podskoczy do warkoczy,
Pali buzię, rączki, oczy!
Kotki krzyczą: »Kasia gore!
Miau, ratujcie, aby w porę!
Z sikawkami bieżcie żywo,
Gasić Kasię nieszczęśliwą!«

I zgorzała Kasia cała,
Garść popiołu pozostała,
I trzewiczki smutne stoją,
Smucą się nad panią swoją.
Miauczek z Mruczkiem już nie skaczą,
Ale pani swojej płaczą:
»Gdzie panienka nasza miau!
Gdzie jej biedna mama, miau!«
I tak płaczą nad dzieciną,
Że strumieniem łzy im płyną.

Poświęcenie Joasi.

Joasia mieszkała wraz z matką swą w ubogiej podgórskiej wiosce, którą otaczały z dwóch stron dwie bystre górskie rzeki, łączące się poniżej gromadzkiego pastwiska. Ojciec Joasi już dawno nie żył, brat starszy służył w wojsku, a matka, znękana doznanemi zmartwieniami i ciężką pracą, zapadła była od dłuższego czasu na zdrowiu.

Na Joasię spadł przeto wcześnie cały trud gospodarstwa domowego. Pracą rąk swoich utrzymywała siebie i matkę. Nie posiadali nic więcej prócz chaty z ogrodem, położonej w pobliżu pastwiska.

Joasia utrzymywała porządek w domu, uprawiała ogród i sadziła w nim jarzyny, doglądała krów, chodziła do lasu po chróst i grzyby, gotowała strawę, wychodziła na zarobek do dworu i do majętniejszych gospodarzy, przędła zimowymi wieczorami wraz z matką, prała w blizkiej rzece bieliznę, jednem słowem, była właściwą gospodynią domu. Mimo tych zajęć była Joasia zawsze swobodną i wesołą. Codzień na wiosnę rozlegał się jej śpiew z ogródka po pastwisku. Wszystkich witała pogodną twarzą, a choć sama żyła w niedostatku, umiała przecież być litościwą i dobroczynną dla biedniejszych od siebie.

W tej samej chacie mieszkała po drugiej stronie uboga wdowa z trojgiem dzieci: matka Joasi przyjęła ich litościwem sercem w komorne. Joasia dzieliła się nieraz chlebem ze zgłodniałemi dziećmi wdowy, doglądała ich gdy sąsiadka wyszła na zarobek, myła je i czesała, uczyła utrzymywać porządek w izbie i wyręczała ile możności ich matkę.

Razu jednego trwała w lecie kilka dni słota. Gospodarze smucili się, nie mogąc zwieźć snopów z pola. Codzień spoglądali ku gó-

rom, czy się nie rozchodzą rozwieszone nad niemi chmury i codzień kładli się do snu z tą samą troską.

Raz obudził Joasię przed świtem niezwykły szum i łoskot, zbliżający się od strony pastwiska. Wybiegła na próg chaty i spostrzegła przerażający widok. Całe pastwisko było zalane wodą z obu rzeczułek, które tak wezbrały, że aż wystąpiły z brzegów. Fale niosły ze sobą zrąbane kłody i całe drzewa, wyrwane z ziemi. Belki z mostów, deski ze stajen i stodół pędziły w dół, niesione wartkim prądem. Bydło i konie walczyły nadaremnie z przemagającą siłą wody. W brzasku porannym spostrzegła Joasia w oddali nawet całą chatę, uniesioną pędem wody. Z dymnika chaty wyglądali przerażeni mieszkańcy, wyciągając ręce i wołając o pomoc. Ale nim kto zdołał przybyć z pomocą, fale uniosły ich daleko i chata znikła z oczu Joasi.

Joasia prędko poznała, że i jej chatce grozi podobne niebezpieczeństwo. Woda zalewała już bowiem podwórko i ogród.

Nie namyślając się długo, zastukała Joasia w drzwi sąsiadki, aby ją zbudzić, wpadła do izby w której matka, także już obudzona, z przestrachem wyglądała przez okienko, porwała kilka sztuk odzieży na ramię, wzięła omdlewającą matkę na plecy i wybiegła z nią z chaty. Woda wciskała się już do sieni, a zanim Joasia przebrnęła podwórko, już jej powyżej kolan sięgała.

Joasia wiedziała dobrze, że tylko wtedy matkę i siebie wyratuje, jeśli dostanie się na urwisty brzeg wzgórza, wznoszącego się za ogrodem. Brnąc zatem po pas w wodzie i ślizgając się w bróździach, przebyła ogród i poczęła wdrapywać się na górę. Wtem usłyszała za sobą straszny krzyk i płacz.

To sąsiadka, wybiegłszy z dziećmi na podwórze, wołała za nią. Dwoje dzieci mniejszych trzymała na ramionach, a starszy chłopak chwycił się przerażony za jej odzież.

— Joasiu! — wołała wdowa — nie zostawiaj nas! Ratuj nas!

Joasia zatrzymała się zadyszana w połowie wzgórza i zawołała: »Wyleźcie na pagórek w ogrodzie! Ja wrócę i zabiorę dzieci! Ale weźcie też i krowę naszą ze sobą!« Starszy chłopczyna, oprzytomniawszy cokolwiek, porwał za postronek, którym krowa była uwiązana i podążył z nią za matką.

Tymczasem Joasia wdrapała się na wzgórze, oddała matkę w opiekę włościanom z chat najbliższych, którzy się tam już byli schronili i zwróciła się napowrót. Sąsiedzi ją zatrzymywali, widząc oczywiste niebezpieczeństwo. Woda gwałtownie wzbierała i zalewała pagórek w ogrodzie, na którym z trudem trzymała się wystraszona sąsiadka z uczepionemi u jej ramion dziećmi i z krową.

Joasia nie dała się jednakże powstrzymać. Pędem zbiegła z góry i walcząc z napierającymi bałwanami, które jej już powyżej ramion sięgały, zdążała ku wdowie. Nim jednakże doszła, wir fal porwał wdowę z dziećmi, porwał chłopaka, trzymającego się krowy i wszystkich zalał i zatopił.

Joasia znalazła się sama wobec rozhukanych bałwanów. Spoj-

rzała ku wzgórzu, ale z ludzi przypatrujących się żaden nie miał odwagi przyjść jej w pomoc. Spojrzała w niebo, westchnęła i zalana wodą również poszła na dno.

Tak zginęła dzielna, dobra dziewczyna.

W kilka dni woda opadła. Mieszkańcy wiosek poczęli wracać do opuszczonych chat, ale zwłok Joasi nie znaleziono. Brat jej powrócił z wojska i zamieszkał z matką, która wskutek przestrachu i żalu po stracie Joasi gorzej jeszcze na zdrowiu podupadła. Mieszkańcy wsi odbudowali staruszce chatkę, zaopatrzyli całe jej gospodarstwo, i wystawili duży krzyż na pamiątkę tego zdarzenia. Wszystkie dzieci nazywają go »Joasinym krzyżem«, i śpiewają piosnki, opowiadające o poświęceniu Joasi.

Prawdziwa historya o swawolnym Mikołajku.

— Gdzież to nasz Mikołajek? — zapytał pewnego razu swej żony pan Rej, właściciel pięknej wioski Żurawno, zasiadając do wieczerzy.

— Właśnie miałam się o to samo zapytać, bo nie widziałam go od rana — odpowiedziała żona. — Nawet się na obiad nie pokazał. Pewnie poszedł z wędką na ryby, albo ptaki w sidła łapie.

Pan Rej zamyślił się głęboko. — Trzebaby jednak pomyśleć, co z tym chłopakiem będzie; wartoby go gdzie wysłać między ludzi. Prawda, ciężko to rozstawać się z jedynakiem, ale przecież aż wstyd, aby taki chłopak pod wąsem nic się nie uczył i cały dzień bąki zbijał.

P. Rejowa nic nie odpowiedziała, tylko cichaczem łzę otarła. Nieraz im już sąsiedzi i znajomi przyganiali, że synowi uczyć się nie każą, lecz pozwalają próżnować cały dzień, ale myśl, że Mikołajek musi z domu wyjechać, bardzo ją zmartwiła.

Działo się to czterysta lat temu, kiedy nawet nikomu ani się nie śniło, że będzie kiedyś można np. ze Lwowa do Krakowa za pięć godzin zajechać; nie znano wtedy jeszcze kolei żelaznych, więc taka podróż trwała nieraz tydzień, a jak złe drogi były to i dłużej, więc gdy rodzice dziecko do szkól oddali, to nieraz i kilka lat go nie widzieli, bo mało kogo było stać na odbycie tak długiej i kosztownej podróży.

Mikołajkowi zrobiło się też bardzo markotno na myśl, że trzeba będzie Żurawno opuścić, a iść do szkół, gdzie się trzeba uczyć, zamiast włóczyć się po lasach i polach.

Matka, chcąc go trochę rozweselić, pokazała mu dnia pewnego czerwoną jedwabną materyę, którą dla niego ojciec sprawił, aby się ukochany synek pięknie przystrojony w szkole pokazał.

— A szanuj też to ubranie — mówiła matka — bo nieprędko ojciec będzie ci mógł drugie takie sprawić, jakby ci zaś tego nie stało, jakżebyś w tych poniszczonych w lesie sukniach do szkoły pojechał.

Zrazu Mikołajkowi czerwony jedwab się spodobał i pięknie rodzicom za podarunek podziękował, ale wtem przyszedł mu figiel do głowy. Od dawna już zastawiał on sidła na kawki i wrony, które znaczne szkody w gospodarstwie czyniły. Niewiele myśląc porywa nożyce, kraje jedwab na drobne kawałki i przywiązuje je do szyi schwytanym wronom. Gdy inne ptaki tak przystrojone towarzyszki obaczyły, przelękły się niemało i na długi czas żadna kawka ni wrona w Żurawnie się nie pokazała. Oj! miał też Mikołajek za swoje! Do szkoły wprawdzie nie poszedł, ale co to było, gdy się ojciec o psocie dowiedział!

Nareszcie jednak gdy już miał 20 lat, oddał go ojciec na dwór wojewody Tęczyńskiego (wojewoda był to w Polsce wysoki urzędnik). Tu Mikołaj nieraz musiał się wstydzić, gdy widział, jak nic nie umie, jak nieraz nawet młodzi chłopcy przewyższają go nauką. Postanowił się więc poprawić i wziął się pilnie do nauki. Pan Bóg pobłogosławił jego dobrym chęciom i niebawem tyle się nauczył, że mógł sam książki pisać. Napisał ich dużo, niektóre nawet wierszem. Dotąd wszyscy Polacy pisywali książki po łacinie, *on pierwszy zaczął pisać po polsku.* Imię *Mikołaja Reja z Nagłowic* zasłynęło niebawem w całym kraju. Umarł w r. 1569.

Widzicie więc dziatki, że na poprawę nigdy nie zapóźno, ale zawsze to lepiej nie potrzebować dopiero zaczynać nauki w starszym wieku, bo im człowiek młodszy, tem łatwiej mu uczyć się. Uczcie się więc pilnie, bo nie z każdego próżniaka wyrośnie taki sławny człowiek, jak Mikołaj Rej.

ZAGADKI.

I.

Gdy rośnie zdobi lasy i ogrody,
A kiedy ścięte to przy ludzkiej pracy
Daje nam ciepło i wielką wygodę,
Jest ono w mieście — mają je wieśniacy.

II.

Roślinę, zwierzę, wszystko co jest w świecie,
I co jest w ziemi bierze na ubranie,
Kto to jest taki – czy też wy nie wiecie,
Co przed nim nigdzie nic się nie ostanie?

Aniołek poleca codziennej modlitwie swoich dzieci: Wielką przyjaciółkę dzieci, p. Marylkę Taralczuk, która upadłszy, ciężko poraniła sobie głowę. — Chorego Tatusia czytelnika Aniołka, Olesia Rissa. — Ciężko chorą dziewczynkę Olesię, która bardzo cierpi na bóle głowy.

Dla braku miejsca, odpowiedzi od Aniołka w następnym numerku.

Wydawca: **Henrykowa Dziewicka.** — Redaktor odpowiedzialny: **Katarzyna Płatek.**
W drukarni W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie.